

INTRYGNA, KTÓRA ZAPOWIADA SIĘ NIEWINNIE, A POTEM
EKSPLODUJE ZAPIERAJĄCĄ DECH W PIERSIACH ŁAWINĄ WYDARZEŃ!

Gregg Hurwitz

LISA GARDNER

CZyste ZŁO

Idealne miasteczko. Doskonała zbrodnia.
Przerażający koszmar.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
WHEN YOU SEE ME

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Miguel Sobreira/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

MOJA MAMA LUBI NUCIĆ pod nosem. Stoi przy kuchni, miesza jakąś potrawę albo jej próbuje i bez przerwy nuci, nuci, nuci.

Siedzę na krześle przy stole. Mam do wykonania zadanie. Ucieram ser. To łatwe. Queso blanco kruszy się przy pierwszym dotyku. Ale i tak jestem dumna, że biorę udział w przygotowywaniu posiłku.

Mama twierdzi, że nie trzeba być wcale bogaczem, by jeść po królewsku. Mówi tak pewnie dlatego, że bardzo lubi gotować. Wszyscy przychodzą do naszej kuchni, żeby zjeść jej domową sałkę, jej niepowtarzalny sos mole albo moje ulubione małe cynamonowe churros oblane czekoladą.

Mam pięć lat, dosyć, by mieszać czekoladę, która topi się w garnku na kuchni. Lentamente, mówi mama. Ale też nie za wolno, bo się przypali.

Roztopiona czekolada jest gorąca. Za pierwszym razem wsadziłam do garnka mały palec, bo chciałam jej spróbować. Sparzyłam najpierw palec, a potem usta, gdy go obliżałam. Mama pokręciła głową, kiedy wybuchłam płaczem. Otarła mi fartuchem policzki i powiedziała, że ze mnie głupiutka chiquita i muszę dorosnąć i zmadrzeć. I nigdy już mam nie wsadzać ręki do garnków, w których coś się gotuje.

Ja to jej chiquita. Ona to moja mamita. Tak na siebie mówimy. Uwielbiam patrzeć, jak mamita krząta się po kuchni. Kiedy to robi, jest szczęśliwa. Na jej twarzy nie kładzie się cień. Wydaje się wyższa. Wygląda znów jak moja mama, a nie smutna kobieta, która wychodzi rano z domu w szarym uniformie pokojówki. Albo, co jeszcze gorsze, jak wystraszona kobieta, gdy wraca czasem w środku dnia, wciska mnie do szafy i ostrzega, żebym nawet nie pisała.

Zawsze słucham mamy. To znaczy, raz jej nie posłuchałam. Pobiegłam za brązowym szczeniakiem, bo chciałam go pogłaskać, i jakiś samochód przejechał obok mnie tak szybko, że poczułam wiatr we włosach. Chwilę później mama złapała mnie za ramię i na mnie nakrzyczała. Nie, nie, nie! Tak nie wolno! Dała mi klapsa i to zabolalo. Potem siadła ze mną na czerwonej ziemi i płacząc i kołyszac się, trzymała mnie w objęciach. A to zabolalo jeszcze bardziej. Jednocześnie kłuło mnie w brzuchu i piersiach.

– Musisz mnie słuchać, kochanie. Mamy tylko siebie. Więc musimy na siebie bardzo uważać. Ty jesteś moja, a ja jestem twoja, na zawsze.

Tamtego dnia otarłam łzy z policzków mamy. Oparłam czoło o jej drżące ramię i obiecałam, że zawsze będę grzeczna.

Teraz, kiedy mam pięć lat, sama chodzę do szkoły i sama z niej wracam. A potem siedzę sama przez całe popołudnie i to jest, jak mówi mama, nasz sekret. Innym mogłoby się to nie spodobać. Mogliby mnie zabrać.

Nie chcę, żeby mnie zabrali. Dlatego jestem dzielną dziewczynką. Wracam do domu, włączam nasz mały telewizor, oglądam kreskówki i czekam. Czasami rysuję. Uwielbiam kolorować i malować. I zawsze pamiętam, żeby po sobie posprzątać. Moja mamita ciężko pracuje, szorując i sprzątając po innych. Codziennie wychodzi w uprasowanym uniformie i wykrochmalonym białym fartuszk. I codziennie wieczorem

wraca zmęczona i pozbawiona sił. A to są te dobre dni. Kiedy indziej wraca do domu smutna i przerażona i musi sięgnąć z siebie szary strój, włożyć kolorową spódnicę i ruszyć prosto do kuchni, by móc się znowu uśmiechnąć.

Teraz jest wieczór. Jemy burritos z gotowaną na wolnym ogniu czarną fasolą i kawałkami kurczaka. To musi być wyjątkowy wieczór, bo nie zawsze jemy kurczaka. Mięso dużo kosztuje, a my musimy oszczędzać.

Mama jest jednak szczęśliwa i miesza w garnku fasolę. W piekarniku pieką się tortille. Nasza kuchnia jest mała, ale jasna. Czerwone kafelki, niebieskie i zielone ściany. Garnki odziedziczone przez mamę po swojej matce, którą musiała opuścić dawno temu i której nigdy już nie zobaczy. Ale dostała je właśnie od niej, więc jej mama będzie z nią zawsze, a pewnego dnia będzie i ze mną.

– Człowiek nie potrzebuje wielu rzeczy – lubi powtarzać moja mama. – Potrzebuje tylko tych właściwych.

Słyszę dobiegające z oddali wycie. To koty, które do siebie śpiewają. Mamą wstrząsa dreszcz, gdy je słyszy, ale mnie się to podoba. Chciałabym odrzucić do tyłu głowę i wydać taki sam żaloszny krzyk.

Zamiast tego nucę pod nosem jak mama. A potem bawię się z nią w moją ulubioną grę.

– Mamita – mówię.

– Chiquita – odpowiada ona.

– Bonita mamita – mówię.

Mama się uśmiecha.

– Linda chiquita – odpowiada.

– Muy bonita mamita.

– Muy linda chiquita.

Chichoczę, bo jesteśmy jedną drużyną, małą dwuosobową drużyną, i to my teraz śpiewamy do siebie.

– *Ale z ciebie głupiutka chiquita – mówi mama, a ja znowu chichoczę, kradnę kawatek queso blanco i przebieram pod krzesłem nogami z radości.*

– *Kolacja – ogłasza mama, wyjmując z piecyka tortille.*

Kojoty znów wyją. Mama robi znak krzyża. Chyba cieszę się, że ja jestem jej, a ona jest moja.

ZŁY CZŁOWIEK PRZYCHODZI PO kolacji. Mama stoi przy zlewie i zmywa naczynia. Ja stoję obok i je wycieram.

Zły Człowiek puka do drzwi, mocno i głośno. Mama zastyga przy zlewie. Na jej twarzy pojawia się cień, lecz ja nie wiem, o co chodzi.

Wiem tylko, że się boi. A jeśli ona się boi, ja boję się także.

– *Do szafy – szepcze do mnie.*

Ale jest już za późno. Mężczyzna otwiera na oścież tylne drzwi i wchodzi do środka. Zajmuje prawie całe wolne miejsce. Kuchnia, zawsze w sam raz dla naszej dwuosobowej drużyny, teraz wydaje się strasznie mała.

Nie ma się w niej gdzie ukryć.

Widzę jego padający na ścianę wielki mroczny cień, który wydaje się bardziej cieniem bestii niż człowieka.

– *Coś ty zrobiła? – pyta od razu mamę. Nie krzyczy. Mówi spokojnym, zimnym głosem. Słyszając go, cała się trzęsę i mam ochotę się przeżegnać.*

– *N...n...nic – odpowiada łamiącym się głosem mama.*

Ona też cała się trzęsie. Wiem, że kłamie, i wie o tym także Zły Człowiek.

– *Naprawdę myślałaś, że się nie dowiem? Naprawdę myślałaś, że mnie przechytrzysz?*

Mama nie odpowiada. Wpatruję się bardzo długo w jej twarz. Jest nieprzenikniona i gładka, ale uświadamiam sobie, że

rzeczywiście zrobiła to, o co oskarża ją ten mężczyzna. A on to odkrył. I teraz wydarzy się coś strasznego.

Jesteśmy dwuosobową drużyną. Chcę ją wziąć za rękę. Chcę być dzielną dziewczynką. Nie mogę jednak opanować drżenia nóg. Siedząc na moim małym taborecie, nie mogę się poruszyć.

Mama wstawia nagle garnek do zlewu. Grobową ciszę przerywa głośny brzęk.

– Może coś zjesz? – pyta mama. – Mamy na kolację burritos. Usiądź, proszę, zaraz ci podam. – Mówiąc o jedzeniu, odzyskuje spokój. Daje krok do przodu, stając między mną i mężczyzną.

– Jasne – odpowiada Zły Człowiek, ale coś w jego głosie sprawia, że znów przechodzi mnie dreszcz.

Żałuję, że nie ukryłam się w szafie. Ale teraz nie mogę już do niej wskoczyć. Nie mogę się poruszyć tak, żeby tego nie widział. Poza tym ta tkwiąca we mnie głupia, uparta, wsadzająca palec do gorącej czekolady dziewczynka nie chce nigdzie iść, nie chce zostawiać tej bestii w ludzkiej skórze sam na sam z mamą.

Mama bierze talerz, który przed chwilą wytarłam, i podchodzi do kuchenki, na której stoi garnek z zimną fasolą i niezjedzone przez nas tortille. Nie spieszy się. Bierze tortillę. Nakłada na nią łyżkę fasoli. Dodaje szczyptę tartego sera. Zawija tortillę i wkłada ją do piekarnika. Bierze z półki salsę i stawia ją na stole.

– Piwo – rzuca mężczyzna.

Mama podchodzi do małej lodówki i wyjmuje jedną ze stojących z tyłu puszek.

Wydaje się bardzo opanowana, ale bez przerwy miętosi palcami swoją jaskrawoczerwoną spódnicę.

– Siadaj ze mną – mówi mężczyzna, kiedy mama wyjmuje burrito z piekarnika.

– Muszę dokończyć zmywanie.

– Siadaj ze mną.

Mama siada. Zerka na mnie. Widzę po jej oczach, że próbuje

mi coś przekazać. Siedzę na swoim taborecie i nie mam pojęcia co. Nie wiem, dokąd pójść, co zrobić. Musimy na siebie uważać, mówiła. Ale nie wiem, jak mam na nią teraz uważać.

Chcę po prostu, żeby Zły Człowiek sobie poszedł i żebyśmy znów były same w naszej kuchni.

Mężczyzna je burrito. Kęs po kęsie. Pije piwo. Nic nie mówi i od tego milczenia zaczyna mnie boleć brzuch.

Kiedy ostatni kęs burrito znika w ustach Złego Człowieka, mama wypuszcza z płuc powietrze. Opadają jej ramiona. Podjęła jakąś decyzję, ale nie wiem jeszcze jaką.

Mężczyzna zerka w moją stronę.

– Jest bardzo ładna – mówi.

– To jeszcze dziecko – rzuca chłodnym tonem mama i wstaje.

– Wyjdźmy na zewnątrz.

On unosi brew.

– Co, próbujesz się stawiać?

– Chcesz pogadać? To wyjdźmy na zewnątrz.

– No, nie wiem. Podoba mi się w twojej kuchni. Jest tak przytulnie. Może powinnaś posprzątać ze stołu. Moglibyśmy pokazać twojej córce, w czym jesteś naprawdę dobra.

Mama wpatruje się w Złego Człowieka. I nagle obchodzi stół dokoła i rusza prosto na niego. Mężczyzna wzdryga się zaskoczony, a ja jestem dumna z mojej mamy, że się przed nią cofnął. Nie zwalniając kroku, mama trąca biodrem jego rękę, jakby chciała mu dać coś do zrozumienia. A potem otwiera na oścież tylne drzwi i zanim mężczyzna ma czas zareagować, wychodzi na zewnątrz.

Zły Człowiek w końcu wstaje. Długo mi się przygląda. Nie podoba mi się to, co widzę w jego oczach.

– Jak masz na imię, mała? – pyta.

Otwieram usta, ale nie pada z nich żadne słowo. Nadal za bardzo się trzęsę.

Mama woła go.

Mężczyzna rzuca mi ostatnie spojrzenie, po czym rusza w stronę drzwi.

– Głupia dziewczyna – mruczy.

Trzymam w ręce ściereczkę. Siedząc sama w kuchni, wpatruję się w nią, żałując, że nie zostało już nic do wytarcia. Żałując, że nie można cofnąć czasu i że nie mogę znów siedzieć przy stole, trąc ser i słuchając, jak mama nuci pod nosem.

Słyszę kolejne dźwięki. Głos mężczyzny, tubalny i wściekły.

Głos mojej mamy. „Nie!”, powtarza raz po raz. Najpierw stanowczo, potem uparcie, wreszcie błagalnie. Słyszę trzask i płasnięcie. Kulę się. Rozpoznaję te dźwięki. Zły Człowiek ją bije. Mama znów się odzywa, ale mówi tak cicho, że prawie jej nie słyszę. Łamie jej się głos. Zranił ją i coś w niej pękło.

Gniewne głosy milkną. Wszystko zamiera. Cisza przeraża mnie jeszcze bardziej niż wcześniejsze hałasy.

Jesteśmy jedną drużyną. Mamy tylko siebie. Musimy na siebie...

Ostrożnie schodzę z taboretu i zbliżam się do otwartych drzwi. Wyglądam na zewnątrz.

Mama klęczy. Mężczyzna stoi nad nią i trzyma coś w ręce. To pistolet. Celuje z niego w głowę mamy.

W ogóle nie myśląc, puszczam się sprintem w jej stronę. Chcę wierzyć, że pędzę jak wiatr, ledwie widać moje śmigające dłonie i stopy. Podbiegam do mamy i rzucam się w jej ramiona.

– Nie! – krzyczy mama. – Uciekaj! Uciekaj, chiquita, uciekaj!

Odgania mnie, mimo że łapię ją za ręce. Odpycha mnie od siebie.

– Uciekaj! – woła. – Uciekaj!

Widzę, że łzy płyną jej po policzkach. Widzę w jej oczach przerażenie.

Nie uciekam. Nie mogę.

*Wyciągam do niej rękę. Mamy tylko siebie. Musimy na siebie...
Zły Człowiek pociąga za spust.*

Później będzie mi się to śniło noc w noc. Później ta jedna chwila będzie wszystkim, co mi pozostało. Ostatni raz, kiedy się odezwałam. Ostatni raz, gdy słuchałam nucenia mamy. Ostatni raz, gdy wyciągałam rękę do kogoś, kto mnie kochał.

Kula rozrywa szyję mamy. Tryska krew. Jej ręka ponieważ podrywa się w górę.

Kula leci dalej i trafia mnie w skroń. Przewracam się do tyłu. Ląduję na czerwonej ziemi. Półprzytomna, ranna, oszołomiona.

*Zły Człowiek podchodzi do mnie. Dotyka palcami mojej szyi.
– Niech to szlag – mruczy.*

A potem, tuż nim stracę przytomność, podnosi mnie z ziemi. Nie opieram się. Krew zalewa mi oczy. Patrzę przez tę krew na ciało mamy. I czuję, jak pali mnie kula, która przeszła przez nią i mnie raniła. Która mnie z nią połączyła.

Nie ma już naszej dwuosobowej drużyny.

Rozdział 1

– WODA?

– Jest.

– Batoniki granola?

– Są.

– Jabłka? Kanapki z masłem orzechowym i galaretką?

– Są. Są. – Janet podniosła wzrok znad prowiantu ułożonego na pikowanej kołdrze w pensjonacie. – Ile wody?

– Powiedziałbym, że dwie butelki na osobę – odparł Chuck. Wkładał akurat trekkingowe buty, tupiąc przy tym energicznie w drewnianą podłogę, żeby ułożyły się w nich dobrze pięty.

– Na dworze jest naprawdę gorąco – zauważyła Janet.

Uciekli na weekend z gorącej Atlanty w góry tylko po to, by odkryć, że na północy wilgotność powietrza jest niewiele niższa niż w mieście, które zostawili za sobą. Tego właśnie potrzebowali: fali upałów w Appalachach.

Chuck przeanalizował sprawę.

– Włóż lepiej po trzy butelki na głowę – odpowiedział. – Żebyśmy się nie odwodnili.

– Jasne – mruknęła Janet, starając się, by nie usłyszał w jej głosie sarkazmu. Tak jakby wiedzieli dobrze, co robią.

Jakby trekkingowe buty Chucka nie zostały dopiero co kupione w sportowym markecie, a plecaki wyciągnięte z czeluści garażu jego rodziców. Ona nie postarała się nawet o prawdziwe turystyczne buty, zadowolając się tenisówkami. Chuck ostrzegł ją, że na szlaku może sobie skrócić kostkę. Tak naprawdę zależało jej na romantycznym weekendzie w pensjonacie. Byli ze sobą od roku – na tyle krótko, że nadal się starali, i wystarczająco długo, by weekend za miastem wydawał się świetnym pomysłem.

Ale górską wspinaczka? Chuck chyba właśnie tak wyobrażał sobie miło spędzony czas. Ona wołałaby seks i posiłki do pokoju, ale biorąc pod uwagę, jak jej chłopak chodził teraz tam i z powrotem, głośno tupiąc i ciesząc się ze swoich nowych butów, nie wchodziło to raczej w grę. Może pod koniec dnia. Zakładając, że którekolwiek z nich będzie wtedy w stanie się ruszyć.

– Masz mapę? – zapytała, bo była miastową dziewczyną i wiedziała, że będą jej potrzebować.

– Tak. Szlak jest zaznaczony. Pętla o długości siedmiu kilometrów, różnica wysokości sześćset metrów. Pestka.

Chuck zatrzymał się na chwilę, by poruszyć śmiesznie brwiami i zaoferować jej krzepiącego całusa. Janet wychyliła się i cmoknęli się w usta. Potrafił być czarujący, ze swoją strzechą brązowych włosów, gęstymi rzęsami i ciemnymi jak u szczeniaka oczami. I był wysportowany: w nieodległej przyszłości asystent prokuratora hrabstwa, rozładowujący frustrację z sali rozpraw na trasach półmaratonów. Biorąc pod uwagę, jak bardzo lubiła każdy centymetr ciała tego długodystansowca...

Dobrze, pójdzie w góry. Ludzie robią gorsze rzeczy z miłości.

Cofnęła się, złapała pierwszy plecak i stęknęła cicho,

uświadamiając sobie, jaki jest ciężki.

– Zasłużymy sobie na te butelki wody – stwierdziła.

Chuck zarzucił sobie na plecy drugi plecak, jakby ten ważył tyle co piórko.

– Damy radę.

– Obiecujesz, że będziesz mnie niósł?

– Nie chcę się przeforsować. Nadal mam pewne plany na wieczór. Słyszałem, że widoki w wyższych partiach gór są niesamowite. Ale zastanawiam się... – nachylił się jej do ucha – czy nie lepszy byłby seks na szczycie góry.

– W strugach potu i z sosnowymi igłami pod pupą – odparła, lecz zdecydowanie przykuł jej uwagę.

Górska wspinaczka. Hm. Nie lubiła nawet siłowni. Ale wspaniała wycieczka połączona z obietnicą właściwej nagrody...

– Damy radę – powtórzyła za nim schrypniętym głosem. A potem po krótkiej walce z paskami plecaka wyszła z pokoju za swoim szczupłym, wartym grzechu chłopakiem.

BŁĄD PIERWSZY: TO CHUCK narzucił tempo. Był maniakiem treningów kardio i kręte, strome ścieżki górskie nie stanowiły dla niego żadnego problemu. Janet dostała zadyszki i szybko przeszła od romantycznych uniesień do snucia morderczych planów. Uznała, że w składzie ławy przysięgłych będzie co najmniej jedna kobieta. To z pewnością wystarczy, by uniewinniono ją od zarzutu spowodowania śmierci Chucka, do której musiało dojść, jeśli zaraz nie zwolni kroku, by ulżyć cierpieniom swojej dziewczyny.

Błąd drugi: Chuck włożył nowe buty. Po przejściu pierwszego kilometra zaczął gubić krok. A wkrótce potem krzywić się z bólu.

Janet była technikiem weterynarii, co czyniło z niej specjalistkę również od ludzkiego zdrowia. I oznaczało, że to ona musi zakończyć ten marsz śmierci, kazać Chuckowi usiąść na głazie i domagać się, by ściągnął but.

Na pięcie lewej skarpety widać było plamy krwi.

– Jezu, a tak krytykowałeś moje gówniane tenisówki – skomentowała, bo nie mogła się po prostu powstrzymać.

Chuck spiorunował ją wzrokiem i widziała, że on również nie myśli już o seksie, ale o poważnych uszkodzeniach ciała. Niektóre rzeczy nie są wcale tak zabawne, jak się powszechnie wydaje. Janet uznała, że należą do nich również górskie wspinaczki.

Kazała Chuckowi ściągnąć grubą skarpetę trekkingową. Choć siedzieli w cieniu, oboje byli złani potem i z trudem łapali oddech. Janet już nigdy w życiu nie miała zamiaru opuszczać klimatyzowanych pomieszczeń.

Przetrzęsła swój plecak i znalazła apteczkę, kolejny dokonany w ostatniej chwili zakup. Przejrzała jej skąpą zawartość i wyjęła maść antybiotykową i plastry opatrunkowe.

Chuck skrzywił się, gdy dotknęła jego pięty, a potem zaczął wydawał ciche, piskliwe odgłosy. To tyle, jeśli chodzi o wizerunek bezwzględного, niebiorącego jeńców asystenta prokuratora hrabstwa. On w tym związku miał być tym, który podchodzi do wszystkiego poważnie, ona – tą, która wniesie lekkość bytu.

Janet nie chciało się tłumaczyć mu, że nie wie, ile trzeba odwagi, by udzielać pomocy rannym zwierzętom, i jakim trzeba czasem być twardzielem, by uświadomić sobie, że dalsze leczenie nie ma sensu i tym spoglądającym na ciebie ufnie oczom możesz zaoferować tylko jedno ostateczne rozwiązanie.

Pozwoliła Chuckowi zachować resztki męskiej dumy,

nakładając delikatnie masę antybiotykową na zdartą do żywego mięsa piętę, a potem nalepiając na nią plaster. Wiedziała, że nie jest to idealne rozwiązanie, bo sztywne buty dalej będą go obcierać.

- Powinniśmy wracać – zasugerowała.
- Nie ma mowy. Nie tak blisko szczytu.
- Do szczytu mamy jeszcze dwa kilometry, nie mówiąc o schodzeniu w dół.
- Poradzę sobie. To tylko głupi pęcherz.
- Nie mówiłeś kiedyś, że pęcherze to najgorszy wróg długodystansowca?
- To nie jest długi dystans.
- Jesteś szalony.
- Za to właśnie mnie kochasz.
- Myślałam, że za te twoje szczenięce oczęta.
- Nie mam szczenięcych ocząt! – Chuck wkładał już z powrotem skarpetę.
- To może za szczenięce włosy? – Wiedziała, że i tak przegrała już tę potyczkę. Schowała apteczkę do plecaka i odwróciła wzrok, kiedy jej chłopak wsuwał stopę w but. Zgrzytał przy tym mocno zębami.

Wstała i patrzyła, jak Chuck zawiązuje sznurowadło, a potem kuśtyka, jakby nagle, cudownym sposobem, poczuł się lepiej.

Wyciągnęła z bocznej kieszeni plecaka butelkę z wodą i pociągnęła długi łyk. Wcale jej to nie pomogło. Była zgrzana, spocona i miała zdecydowanie dosyć.

CHUCK RUSZYŁ DALEJ. MIAŁ zamiar poharatać sobie stopę na dobre, nie było co do tego wątpliwości. Zedrze z niej całą skórę i będzie długo cierpiał. A ona będzie musiała słuchać

jego utyskiwań. Przez całe dni. Tak jak w przypadku męskiej grypy, tyle że tu będzie chodziło o stopę.

Nowy cel: zdobyć szczyt, obejrzeć widok, strzelić sobie selfie, zejść na dół i nigdy nie wspominać o tym dniu.

Jej chłopak coraz mocniej utykał. Janet dreptała za nim, czekając, aż...

W pewnym momencie zatrzymał się tak nagle, że o mało na niego nie wpadła.

– Potrzebuję kija – powiedział.

– Kija?

– Czegoś w rodzaju laski. Chyba mi się przyda.

– Jasne.

Kij miałyby spowodować, że nowy but nie będzie mu obcierał pięty?

Ale Chuck był teraz facetem, który ma plan. Doszli do miejsca, gdzie szlak skręcał. Teren był bardziej płaski, ale na tej wysokości drzewa rosły niższe i Janet nie widziała żadnych leżących na ziemi gałęzi. Jej chłopak zsunął plecak z ramion. Ona, choć nie do końca wiedziała, o co chodzi, zrobiła to samo, zadowolona, że przez chwilę odpocznie.

Oparli oba plecaki o głaz i Chuck zszedł ze szlaku, podążając głębiej w cień drzew. Janet nie bardzo się to spodobało, ale ruszyła w ślad za nim.

Wszędzie rosły niskie liściaste krzaki. Nie miała pojęcia, jak się nazywają. Między zaroślami wiodła ledwie widoczna wąska ścieżka. Chuck kuśtykał nią, wypatrując odpowiedniego kija, gałęzi, czegokolwiek. Janet co chwila oglądała się za siebie, na miejsce, gdzie zostawili plecaki.

Czy nie tak właśnie giną w górach ludzie? Kiedy schodzą ze szlaku i znikają po nich wszelkie ślady?

Chuck dotarł do niewielkiej polany. Grunt był tutaj bardziej płaski i kamienisty. Znaleźli się zdecydowanie z dala

od utartych szlaków, cały teren pokrywała gruba warstwa zbutwiałych liści. Janet poczuła zapach pleśni i zmarszczyła nos. Ale na wprost przed nimi rosło wielkie liściaste drzewo, a wokół niego – tak! – leżało na ziemi wiele patyków.

Jej chłopak dokuśtykał do pnia drzewa i zaczął go obchodzić. Janet została z tyłu, zerkając kątem oka na ścieżkę, którą mieli wrócić na szlak.

– Hej, popatrz na to! – Chuck wyłonił się z drugiej strony pnia, trzymając w ręce pobielający kij.

Janet zmarszczyła czoło.

– Nie jest za krótki? – zapytała.

– Tak, oczywiście. Ale po prostu mu się przyjrzyj. Zobacz, jaki ma srebrzystoszary odcień, jaki jest gładki. – Przesunął palcami po całej długości kija. – Ani śladu kory. Jest doskonale przesuszony, a mimo to twardy jak skała. Ciekawe, jak długo tu leżał? Ile trzeba lat, by osiągnąć taki stopień fosylizacji?

Podszedł do niej bliżej i na jego twarzy znów pojawił się ten uśmiech. Jak u szczeniaka, który ma nową zabawkę, pomyślała. I w tym momencie przyjrzała się uważnie znalezisku.

– Chuck...

– Co? – zapytał, stając obok niej.

– To nie jest kij.

Podniósł to coś. Było długie, wysuszone i gładkie, dokładnie tak, jak to opisał. Z dwoma wyraźnie zaokrąglonymi gałkami na końcach.

Janet nie miała ochoty mówić tego, co musiała powiedzieć.

– To?

– To jest kość, Chuck. Jeśli miałabym zgadywać, udowa. I biorąc pod uwagę jej długość i grubość, nie należy do żadnego znanego mi zwierzęcia. Co oznacza...

Chuck rzucił kość na ziemię. I kiedy jej nieustraszony

chłopak wydał z siebie głośny wrzask, plany Janet na weekend legły nieodwołalnie w gruzach.

PEWNE RZECZY ZABIERAJĄ WIĘCEJ czasu, niż ludzie skłonni byliby sądzić. Najpierw miejscowe biuro szeryfa musiało wysłać ludzi w góry, żeby zabezpieczyli teren. Potem wezwano stanową antropolożkę sądową, by potwierdziła, że to rzeczywiście ludzkie szczątki, i przeprowadziła pracochłonną ekshumację.

Sporządzono szkice. Przesiano ziemię w poszukiwaniu dowodów. Kiedy stało się jasne, że szkielet rozwłóczyli padlinożercy, poszerzono teren poszukiwań. Nieco dalej odkryto kilka mniejszych kości. Wielu innych nie udało się odnaleźć.

Po jakimś czasie antropolożka sądowa zabrała szkielet do Atlanty, w zacisze swojego laboratorium. Tam złożono kości w osobnym pudle i nadano sprawie numer. Laboratorium odwiedziło kilku ekspertów, a także studentów medycyny z czwartego i piątego roku. Wszyscy byli pod wrażeniem jakości znaleziska. Nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

Minęło kilka kolejnych tygodni. A potem kilka miesięcy, bo sprawa nie była świeża.

W końcu coś się ruszyło. Miejscowy artysta odtworzył w glinie twarz ofiary. Zrobiono fotografie, załadowano je do krajowej bazy danych – i nagle udało się trafić na ślad. Antropolożka sądowa przeprowadziła dodatkowe badania, porównała wiek, płeć, a także odniesiony w dzieciństwie uraz (złamanie ręki) z odnalezioną kością ramienną. Wszystko to zostało potwierdzone i szkielet zyskał ostatecznie nazwisko.

Dopiero wtedy zatelefonowano do agentki specjalnej Kimberly Quincy, bo to ją należało powiadomić w sprawie

tej akurat zaginionej osoby. Według antropolożki sądowej, w górach Georgii odkryto szczątki zaginionej przed piętnastu laty Lilah Abenito. Przyczyna śmierci była nieznana, ale uszkodzenia kości gnykowej mogły wskazywać na uduszenie.

Kimberly zakończyła rozmowę. Przez chwilę przyswajała sobie tę informację. Zastanawiała się... Jeszcze przez moment przyswajała. Czekwała na ten telefon od tylu lat, że nie mogła w to uwierzyć. Ale Lilah Abenito w końcu się odnalazła. A to oznaczało, że...?

Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła z płuc powietrze. I w tym momencie wiedziała już dokładnie, co powinna zrobić.

Rozdział 2

FLORA

KIEDYŚ CHODZIŁAM NA RANDKI z chłopakami. PJN. Przed Jacobem Nessem. Pamiętam, jak czesałam moje lśniące w słońcu włosy, aż skrzyły się kalifornijskim złotem. Potem robiłam sobie rzęsy na fioletowo i nie żałowałam tuszu, by podkreślić głębię szarych oczu. Do tego kusa, ledwo zakrywająca uda sukienka. Czemu nie? Przez całe dzieciństwo biegałam po lasach Maine i miałam długie, kształtne nogi, którymi chciałam się pochwalić.

W tamtych czasach byłam ostrą laską. Nie wchodziłam tak po prostu do baru, ja do niego wkraczałam: olśniewająca, promienna, wiecznie na rauszu. Byłam młoda i arogancka. I głupia. Boże, jaka głupia. Nawet teraz, osiem lat później, żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie i pogadać przez dwadzieścia sekund ze swoim młodszym, głupszym „ja”.

Ale nie miałam takiego szczęścia. Więc zamiast tego moje olśniewające, promienne „ja” wybrało się na wiosenne ferie na Florydę. I podobnie jak tyle innych atrakcyjnych studentek włożyłam kusą sukienkę i ruszyłam na miasto z najlepszymi kumpelami, prawie tak samo jak ja skrzącymi się i rozchichotanymi, prawie tak samo jak ja gotowymi pójść na całość. Wychylałyśmy jeden po drugim kieliszki tequila.

Płasałyśmy na parkietach usłanych skorupkami orzeszków. Odrzucałyśmy przystojniaków na rzecz tych, którym zależało tylko na seksie.

A potem...

Wciąż roztańczona, odpłynęłam od bezpiecznych światła baru i znalazłam się na prawie bezludnej mrocznej plaży, słuchając piosenki, którą, upojona tequilą, tylko ja słyszałam w swojej głowie.

I Jacob Ness, który, jak mi później powiedział, obserwował mnie od kilku godzin, zgarnął mnie z tej plaży. Zabrał mi moje życie, próżność ładnej dziewczyny, całą moją fanfaronadę i to, kim byłam. On się pojawił, ja zniknęłam. I w ciągu następnych czterystu siedemdziesięciu dwóch dni poznałam zupełnie inny rodzaj egzystencji. Egzystencji, w której tkwiłam w skrzyni wielkości trumny i spełniałam kaprysy okrutnego psychologa od dawna marzącego o własnej seksualnej niewolnicy.

Gdybym tylko mogła pogadać przez dwadzieścia sekund ze swoją młodszą, głupszą „ja”... Ale pewnych błędów nie da się naprawić. I pewnych doświadczeń nie można się pozbyć.

Jest to, co było. A teraz jest to, co jest.

Wciąż jednak brakuje mi tamtej dziewczyny. Zwłaszcza w takie wieczory jak ten.

SPOTYKAMY SIĘ W RESTAURACJI. Keith dobrze wie, że nie powinien podjeżdżać po mnie do domu. To naprawdę głupie. Facet jest komputerowym nerdem i mógłby prawdopodobnie zhakować Departament Obrony. Na pewno zna mój adres. Kurczę, niewykluczone, że ma dokładny plan całego mojego budynku.

Ale chcę zachować złudzenia i na tym etapie naszego „związku” Keith nie zamierza mi ich odbierać. Na dzisiaj

randkę wybieramy się do popularnej w Bostonie knajpy z żeberkami z grilla. Znanej z wielkich porcji i problematycznego sąsiedztwa. Hipsterzy nie powinni się tam pokazywać. Turyści mają niewielkie szanse przeżycia. To mi pasuje.

Kiedy pozwoliłam mu się zaprosić poprzednim razem, Keith zabrał mnie do aspirującego do pięciu gwiazdek lokalu z wykrochmalonymi białymi obrusami i dwudziestoma dziewięcioma srebrnymi sztucami przy każdym nakryciu. Miałam na sobie elegancką bluzę z kapturem, ale i tak czułam się trochę nieswojo.

– Jesteś piękna, dokądkolwiek i w czymkolwiek wejdiesz – zareagował tak jak trzeba Keith.

Zastanawiałam się, ile zdołam dokonać zniszczeń czterema dostępnymi nożami, zwłaszcza tym do ryb, który wydawał się nowym interesującym narzędziem. Niespecjalnie ostrym, ale przecież nie trzeba czegoś ostrego jak brzytwa, by wyłupić komuś oczy. Za to nóż do masła miał ciężką srebrną rękojeść, idealną, by kogoś ogłuszyć. Były tam także kryształowe szklanki, które łatwo stłuc i kogoś pokaleczyć, oraz porcelanowe talerze, którymi można ciskać w ludzi niczym krążkami frisbee...

Wyszliśmy stamtąd bardzo szybko.

W ubiorze preferuję określony styl. Nazywam go lumpenproletariackim. Składają się na niego głany ze stalowymi noskami, ciemne bojówki i dowolna liczba bluz z kapturem. Niektóre z moich bluz mają napisy – logo albo nadruk. Wszystkie były prane tyle razy, że napisy są nieczytelne.

Nie wydaję pieniędzy na ubrania, na imprezowe sukienki ani nawet na nowe bluzy. Zainwestowałam za to ostatnio w nóż motylkowy. Gdy stalowe rękojeści złożą się niczym wachlarz – albo skrzydła motyla – widać na nich naprawdę

odjazdowy motyw smoka. Jeden ruch nadgarstka i rękojeści się otwierają, wyłania się pomiędzy nich ostrze i zaczyna się krwawa jatka. Uwielbiam mój nowy nóż, w nocy całymi godzinami otwieram go i zamykam, wodzę palcami po odjazdowym rysunku smoka, a potem znów otwieram i zamykam. Tego wieczoru wsunęłam go w cholewkę buta. To jeden z powodów, dla których wyszłam dziś na miasto. Chciałam się przekonać, jak się chodzi z ukrytą bronią.

Bo randkowanie... Dziewczyna taka jak ja z facetem takim jak on...

Keith Edgar jest analitykiem komputerowym pracującym na własny rachunek. Jest także pasjonatem autentycznych zbrodni i uważa się za jednego z najlepszych ekspertów od Jacoba Nessa. Spotkałam się z nim w grudniu tylko dlatego, że potrzebowałam kilku informacji na temat życia, które prowadził Jacob, zanim mnie porwał.

Byłam wtedy przekonana, że Keith okaże się mieszkającym w suterenie maniakiem, śliniącym się na widok fotografii z miejsc zbrodni w podobny sposób, jak inni ślinią się na widok pornografii. Że będzie miał oczy nietoperza, głowę okrągłą jak księżyc i słabość do chipsów Doritos oraz napojów energetycznych.

Tymczasem...

Jest wysoki, atletycznie zbudowany, ma gęste, ciemne włosy i niesamowicie błękitne oczy. Preferuje garnitury Toma Forda i – jak zgaduję w środku nocy, kiedy myślę o rzeczach, o których nie powinnam raczej myśleć – majtki Calvina Kleina. Jest niewiarygodnie bystry i potrafi przeanalizować policyjny raport albo profil seksualnego drapieżcy prawie tak samo szybko jak ja.

W tym momencie uważam, że jest czymś najlepszym, co przydarzyło mi się od długiego czasu. Albo seryjnym

mordercą.

To stanowi jeden z wielu problemów, z jakimi borykam się w trakcie takich jak ten wieczorów. I nie wiem, czy mówi mi to coś o nim, czy jest jedną z rzeczy, których nie chcę o sobie wiedzieć.

Siedząc teraz przy narożnym stoliku w zatłoczonej knajpie z żeberkami, liczę wyjścia. Frontowe, tylne i do kuchni, która prawdopodobnie też ma tylne wyjście. A zatem trzy. Wołałabym pięć.

Siedzący naprzeciwko mnie Keith patrzy, jak będnię palcami po lepkiem blacie stolika, i kręci głową.

– Cztery – poprawia mnie, domysławiając się, o czym myślę.
– To znaczy w męskiej łazience jest okno dość duże, by można było przez nie dać nogę. Damską będziesz musiała sprawdzić sama.

Wskazuje głową toalety. Prowadzą do nich korytarze po obu stronach baru, który usytuowano pośrodku sali. Irytujący rozkład, gdyby ktoś mnie pytał. Sześć kroków w lewo albo sześć kroków w prawo i cholerna przeszkoda na samym środku. Tak czy inaczej, więcej wyjść to więcej wyjść.

– Myślałem o żeberkach z wędzoną papryką w polewie z syropu klonowego – mówi Keith, biorąc do ręki menu.

– Pojawienie się w kaszmirowym garniturze w knajpie z żeberkami to dowód odwagi – stwierdzam.

Nagrodą jest olśniewający biały uśmiech. Jednak seryjny morderca, myślę.

– Floro, dla wielu dowodem odwagi jest to, że siedzę z tobą przy jednym stoliku.

W dodatku uroczy. Niech to szlag.

– Kupiłam sobie nowy nóż – chwale się.

– Do tego zamówiłbym frytki z batatów. A ty?

– Colesław – odpowiadam z ponurą miną.

– Naprawdę? Każdy woli frytki z batatów od coleslaw. Robisz to chyba z przekory.

Krzywię się.

Keith pokazuje mi swój smartfon.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać odpowiednie studium: *Coleslaw czy frytki, czyli o ludziach, którzy ukrywają swoje najgłębsze pragnienia*. Nie każ mi pokazywać, jakim jestem nerdem. Wiesz, że i tak to zrobię.

Oczywiście, że to robi. Czarujący, uroczy i sprytny. Kawał sukinsyna.

Chowam z powrotem nos w menu. Jestem niespokojna i czuję się nieswojo. Mam wrażenie, że dłonie, w których trzymam kartę dań, nie należą do mnie. Są pokryte odciskami i zgrubieniami, paznokcie mam obcięte krótko, bez śladu lakieru. Mówię sobie, że mam praktyczne ręce. Praktyczne i sprawne. Ale praktyczne i sprawne w czym?

Nadal nie wiem, jak postępować z mężczyznami takimi jak Keith. Który jest mną w oczywisty sposób zainteresowany, ale także cierpliwy i wyrozumiały. Czasami mówi nawet to co trzeba, ja jednak, zamiast poczuć się lepiej, nabieram wtedy podejrzeń. Za bardzo zna się na rzeczy, za dobrze wszystko rozumie.

Mówią, że Ted Bundy też był bardzo przekonujący.

– Żeberka i frytki z batatów – odzywa się w końcu.

– Kurczak i coleslaw – mówię.

– Coś do picia?

Kręcę głową, wskazując swoją wodę. Rzadko pijam alkohol. On zamówi pewnie piwo, ale tylko jedno. Ze względu na moją abstynencję czy dlatego, że tak samo jak ja lubi mieć wszystko pod kontrolą? Na tym właśnie polega randkowanie. Na tym, żeby się bliżej poznać. Spróbować odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Kim on naprawdę jest? Kim ja naprawdę

jestem? I co najbardziej intrygujące: kim możemy się stać razem?

Zdażyłam już, słowo honoru, spociec się pod bluzą, i kompletnie straciłam apetyt. Wiem, jak radzić sobie z seryjnymi psycholami. Ale ten wieczór może się dla mnie zakończyć klęską.

Dawno, dawno temu była sobie piękna dziewczyna o imieniu Flora, która śmiała się i flirtowała z chłopakami. A teraz?

Słyszę, jak wibruje moja komórka. Uratowana w ostatniej chwili. Wyciągam ją z kieszeni, rozpaczliwie pragnąc zająć się czymś innym. I chwilę później posyłam Keithowi zdumione spojrzeenie.

– Musisz iść? – pyta, nie kryjąc rozczarowania.

– Oboje musimy iść – odpowiadam.

– Oboje? – Zaintrygowany, prostuje się na krześle.

Wyciągam komórkę i pokazuję mu otrzymanego esemesa.

– To od sierżant D.D. Warren. Chce się z nami spotkać.

Natychmiast.

Keith rzuca na stolik gotówkę, łapie swoją skórzaną kurtkę i zrywa się, zanim mnie udaje się oprzeć dłonie o blat. W jego oczach widzę to samo, co skrzy się w moich. Błysk podniecenia.

Facet jest naprawdę idealny, myślę.

I kiedy wychodzę za nim z baru, jestem dziwnie pokrzepiona, czując, jak przy kostce uwiera mnie lekko mój nowy motylkowy nóż.

DETEKTYW SIERŻANT D.D. WARREN pracuje w wydziale zabójstw bostońskiej policji. Ma krótkie kręcone blond włosy, krystalicznie błękitne oczy i ostro zarysowaną szczękę.

Nikt nie nazwałby jej piękną, ale jest atrakcyjna na swój chłodny, nieco niebezpieczny sposób. W trakcie naszego pierwszego spotkania zrobiła na mnie wrażenie kobiety, która nie toleruje głupców i nie bierze jeńców. Do tej pory mnie nie rozczarowała.

Choć w okresie, gdy zostałam uprowadzona, studiowałam w Bostonie, w ogóle nie zajmowała się moją sprawą. Prowadziło ją FBI. Poznałam D.D. dopiero pięć lat po moim bezpiecznym powrocie, kiedy przestałam śnić na jawie i przeniosłam się do Bostonu, by ścigać groźnych seksualnych drapieżców.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją, kiedy stałam skępowana i naga nad niedoszłym gwałtciem, którego unicestwiłam ogniem chemicznym. D.D. chciała przedyskutować ze mną moje kontrowersyjne podejście do zwalczania przestępczości. Ja chciałam, by z akt wynikało, że to on zaczął.

Nie określiłabym naszych relacji jako łatwych, ale przed rokiem poprosiła, bym została jej zaufaną informatorką. Sądzę, że powoli, lecz uparcie stara się nawrócić mnie na swoją wersję prawa i porządku. Szczerze mówiąc, w jej pracy jest za dużo papierkowej roboty. Odpowiadam, że to tylko kwestia czasu i ona dołączy do mojego świata samowolnych stróżów prawa. Obie mamy być może rację.

Nie mam zbyt dużego grona przyjaciół. Podobnie jak wielu innych rozbitków zmagających się z zespołem stresu pourazowego, nikomu nie ufam i nikomu się nie zwierzam. Ale D.D. jest dla mnie kimś w rodzaju cenionej współpracownicy. I choć potrafi być wredna, mam czasami wrażenie, że mnie lubi. Odrobinę.

Dziewięć miesięcy temu współpracowałyśmy przy sprawie rodzinnego zabójstwa. D.D. znała zabójczynię – ciężarną żonę – ze sprawy, którą prowadziła szesnaście lat wcześniej.

Ja rozpoznałam ofiarę – męża – jako faceta, z którym przesiadywał w barze mój porywacz, Jacob Ness. D.D. i ja musiałyśmy znaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

W trakcie tego śledztwa dowiedziałam się wielu nieprzyjemnych rzeczy.

Po pierwsze: Jacob Ness, którego zabiłam własnymi rękami, był głównym podejrzanym w co najmniej sześciu innych sprawach zaginionych osób, które najprawdopodobniej nigdy nie zostaną rozwiązane, ponieważ sprawca nie odpowie już na żadne nasze pytanie.

Po drugie: Jacob Ness, na którego temat po tym, jak mnie uratowano, nie chciałam oficjalnie udzielać żadnych informacji, prowadził najwyraźniej o wiele bardziej zbrodnicze życie, niż nawet ja mogłam podejrzewać. Działał między innymi aktywnie w darknecie, co wymaga informatycznej wiedzy, której ktoś, kto nie ukończył szkoły średniej i nigdy nie przeczytał żadnej książki, raczej nie powinien posiadać. Miał również dostęp do jakiejś chaty, w której więził mnie na początku mojej niewoli i pewnie przetrzymywał tam inne ofiary. Mimo to FBI nigdy nie zdołało zlokalizować tej, jak ją nazywaliśmy, pieczary potwora, co było kolejną wskazówką, że znał dobrze metody śledcze, i kłóciło się z poziomem jego wykształcenia.

Po trzecie: wydawało mi się, że wiem wszystko, co trzeba wiedzieć, o tym złym, potwornym człowieku, który przez czterysta siedemdziesiąt dwa dni kontrolował każdy mój oddech. Okazało się, że nie miałam racji.

I tu wchodzi na scenę Keith Edgar. Ze względu na jego informatyczną biegłość i jak sam twierdził, rozległą wiedzę w temacie Jacoba Nessa, wydawał się kimś, z kim należało się skontaktować, by uzyskać więcej informacji o kryminalnej przeszłości mojego porywacza. Fakt, że Keith przypomina z

wyglądu Teda Bundy'ego, jest czystym zbiegiem okoliczności, tak to sobie w każdym razie tłumaczę.

W współpracy z detektyw sierżant Warren i agentką specjalną Kimberly Quincy z FBI Keith i ja zdołaliśmy w końcu odkryć login i hasło Jacoba w darknecie. To pozwoliło nam odtworzyć osiem lat jego aktywności w sieci i rozwiązać zagadkę pewnego morderstwa. FBI odwdzińczyło się Keithowi, odbierając mu komputer Nessa. Quincy złożyła jakieś sztapkowe przeprosiny: że takie obowiązują w FBI zasady, że takie są ich techniki kryminalistyczne, bla, bla, bla.

Wkurzyło mnie to na maksa. Keith był zdruzgotany. Ale nie aż tak bardzo, jak mogłam się spodziewać, więc zaczęłam się zastanawiać, ile wrażliwych informacji skopiował, zapamiętał albo zmapował, zanim Quincy zabrała mu jego zabawkę. Komputerowi maniacy potrafią być bardzo pomysłowi i z pewnością nie zawracają sobie głowy przepisami federalnymi.

W późniejszych miesiącach nigdy nie zapytałam otwarcie Keitha, co zrobił. Uznałam, że i tak mi nie powie, bo wygląda na kogoś, kto bardzo się pilnuje. Ale jestem pewna, że jeśli trafił na jakąś bombę, będę pierwszą osobą, którą o tym poinformuje; nie ujawni tylko swojego źródła.

Dobrze nam się współpracuje. Powtarzam to sobie, gdy kierowca Ubera podwozi nas pod komendę bostońskiej policji. Nawet o tak późnej wieczornej porze w szklanym budynku pałą się światła.

Keith i ja wchodzimy w milczeniu do środka i widzimy stojącą w holu wejściowym – najwyraźniej na nas czekającą – D.D. Warren. Ma przy sobie małą torbę podróżną.

I w tym momencie wiem już, co jest grane.

Idący obok mnie Keith też się tego domysła.

– Znaleźli coś – mówi szeptem.

– Znaleźli kogoś – poprawiam go.

I kimkolwiek jest ta biedna kobieta, której nigdy nie poznałam, ale z którą na zawsze będę połączona nieuchwytną więzią, już teraz jest mi jej strasznie żal.

Obie spotkałyśmy kiedyś na swojej drodze Jacoba Nessa.

I tak naprawdę żadna z nas nie wróciła do domu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).